

Janusz Nowacki

"Szkoła pracy" w Strudze

Palestra 27/3-4(303-304), 104-106

1983

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

interesu wymiaru sprawiedliwości orzeczenia takie nie powinny być wydawane bez udziału stron,

— przyznania stronom i ich przedstawicielom procesowym prawa udziału w innych posiedzeniach sądu na ich żądanie,

— zapewnienia oskarżonemu i jego obrońcy udziału w posiedzeniu wyznaczonym w kwestii środka zapobiegawczego.

JANUSZ NOWACKI

„SZKOŁA PRACY” W STRUDZE

W „Palestrze” nr 6—7 z 1982 r. ukazał się artykuł pt. „Patronat — historia i program działania na przyszłość”. Mówi on o dziejach Patronatu, jego działalności i osiągnięciach, poczynając od chwili założenia, tj. od okresu poprzedzającego pierwszą wojnę światową. W związku z tym właśnie okresem istnienia Patronatu przed 1914 rokiem pragnąłbym do omawianego artykułu dodać następujące uzupełnienie.

W miejscowości podwarszawskiej Struga został założony przez Patronat zakład wychowawczy dla chłopców. Wszystko, co o tym zakładzie wiem, mogę opisać jedynie na podstawie wspomnień, gdyż żadnymi innymi materiałami w tym względzie nie rozporządzam, więc przede wszystkim nie mogę tu wskazać ścisłej daty powstania tej instytucji patronackiej. W każdym razie funkcjonowała ona — że się tak wyrażę — „na pełnych obrotach” (oczywiście już nie w stadium organizacji) na początku roku 1914. Sam bowiem mogłem to stwierdzić naocznie. W pierwszym okresie wojny po ucieczce z Łomży przed zbliżającym się frontem wojennym znalazłem się tam osobiście wraz z moim starszym bratem. Przyjęła nas tam gościnnie nasza Matka, która była kierowniczką tego zakładu, jako uciekinierów. Pamiętam dobrze napis na pieczęcie znajdującej się w kancelarii, będącej jednocześnie mieszkaniem kierowniczką: *Patronat Szkoła Pracy w Strudze*. Mieściła się ta szkoła w dwu budynkach parterowych z czerwonej cegły. W jednym były sypialnie chłopców, kuchnia, mieszkanie kierowniczką i chyba kilku jeszcze innych osób z personelu, w drugim zaś 3 warsztaty: tkacki, szewski i stolarski. W warsztatach tych pod kierownictwem instruktorów pracowali i pobierali naukę rzemiosła chłopcy. Instruktorem w nauce stolarstwa był majster o nazwisku Gęs. Instruktorem jednego z pozostałych — tkackiego czy szewskiego — majster o nazwisku Pardej, jeżeli się nie mylę. Nazwisko trzeciego uszło mi z pamięci. Wyroby tkackie, obrusy, płótna w rodzaju kilimów były bardzo ładne i wzorzyste; były też i płótna zwykłe. U szewców wyrabiano mocne i zgrabne obuwie. Również ładne były wyroby stolarskie: biurka, stoły, szkatułki, półki. Produkcję tę zakład przygotowywał na zamówienie osób prywatnych i instytucyj. W ten sposób przysparzał na swoje potrzeby funduszków.

Ja pracowałem przez długi czas w stolarni. Doszedłem tam do opanowania elementarnych stopni tego pięknego rzemiosła. Umiałem już ciąć deski różnymi rodzajami piły, wygładzać drzewo za pomocą narzędzi, które wtedy nazywaliśmy heblami, a nawet nauczyłem się kleić jakie takie proste wyroby, drewniane pudła czy bardziej już estetyczne szkatułki. Dumny byłem, a mówiąc skromniej, byłem

bardzo zadowolony, gdy majster Gęs pochwalił mnie i za wzór postawił z powodu równego cięcia desek; takie równe, a nie pokrzywione i chwiejne piłowanie deski nie jest wcale rzeczą łatwą. Jak do wszystkiego, potrzeba do tego wprawy, ćwiczeń.

Zakład był położony w sosnowym lesie z jednej strony, a z drugiej otaczał go zagajnik z młodych sosenek, na jesieni pełen wrzosów. Na obszernym placu między budynkami stało urządzenie, które nazywaliśmy „patatajką”. Wysoki, dobrze wkopany słup miał na wierzchołku osadzone kółko metalowe obracające się na osi; do tego kółka przymocowane były zwisające do ziemi liny zakończone pętlami. Gdy do takiej pętli się wsiadło i zaczęło bieg z tendencją odśrodkową z coraz to wyższymi podskokami, to w rezultacie można było na takiej pętli pojeździć jak na karuzeli — oczywiście z ciągłym odbijaniem się nogami od ziemi. Z rozrywki tej wszyscy korzystali stale.

W zakładzie było kilkudziesięciu wychowanków. Przeważali młodzi, ale pamiętam również i starszych — dorosłych, jak mi się wtedy wydawało. Do zakładu kierowały ich ówczesne sądy za różne przewinienia. Czy decyzje o umieszczeniu w Strudze zapadały również w innych instytucjach, nie wiem, nie pamiętam.

Ciekawie, najzupełniej nowocześnie przedstawiały się metody wychowawcze. Przede wszystkim zakład nie był zamknięty ogrodzeniem uniemożliwiającym ucieczkę. Był otoczony płytkim rowkiem i niskim nasypem z wykopanej z owego rowku ziemi. Na rozstawionych przy rowku palikach o wysokości 20—25 cm rozciągał się pojedynczy drut. Przekroczyć to wszystko można było z łatwością — wystarczyło zrobić jeden większy krok. Było to więc tylko oznaczenie granic terenu zakładowego, w żadnym razie — zamknięcie. Zdarzały się oczywiście ucieczki. W takich wypadkach matka moja wysyłała dwóch innych zasługujących na zaufanie wychowanków, których zadaniem było odnalezienie dezertera. Znając jego miejsce zamieszkania, wysłannicy prędko nań natrafiali i sprowadzali na łono zakładu. O ile sobie przypominam, nie było jakiegos ustalonego systemu kar za takie ucieczki. Po prostu kończyło się to wszystko na rozmowach, przykrych oczywiście dla delikwenta, mniej lub więcej głośnym „wykrzyzieniem”. Karceru nie było. Przypominam sobie następujące zdarzenie. Któryś z chłopaków ukradł mi pas pleciony ze sznurka, szerokości 15—20 cm, jak to według ówczesnej mody noszono. Matka moja przyszła do sypialni, gdzie pas mi zginął i gdzie ja wraz z chłopcami nocowałem. Przemówiła do zebranej gromady wychowanków tymi mniej więcej słowami, że ja ich obdarzałem zaufaniem, a oni zaufania tego w tak brzydki sposób nadużyli, i że pas musi się znaleźć, że wstydy się za nich itp. Jeszcze tego samego dnia wieczorem pas znalazł się na moim łóżku, tj. tam, gdzie go zostawiłem.

Zakład musiał się cieszyć dobrą opinią u ówczesnych władz, skoro decydujące czynniki wojskowe rosyjskie, które postanowiły wycofać nieletnich ochotników z szeregów armii, przesyłały tych nieletnich całymi gromadami właśnie do Strugi jako do punktu etapowego i dopiero stamtąd transportowano ich do rodzin. W pewnych okresach zbierała się tam większa ich liczba, gdyż na transport musieli nieraz dłużej czekać. W pamięci mojej rysują się do dziś ich najrozmaitsze mundury.

Gdy w rezultacie zrozumiałych wojennych kłopotów finansowych Patronatu zmniejszyły się dotacje na utrzymanie zakładu i trzeba było sobie radzić na różne sposoby, kilku starszych chłopców powędrowało do niedalekiej wsi Zagościnniec do pracy u rolników. Szli tam bez żadnego dozoru, bez żadnego pilnowania.

Między wychowankami a kierownictwem panowała atmosfera zaufania z całym swym dobroczynnym oddziaływaniem. Przez cały czas pobytu w Strudze chłopcy byli traktowani jako pełnowartościowi, równouprawnieni członkowi społeczności, do

której należały osoby z kierownictwa i — co podkreślam — ich rodziny, a ponadto często przyjeżdżający goście. Niestety, nie przypominam sobie nazwisk odwiedzających prócz jednego. Był to mianowicie artysta malarz (a może jeszcze wtedy student) Pękalski. Później dekorował on swymi pracami niektóre sale na Wawelu.

Wspólne z chłopcami spacer, rozrywki, jak np. wspomniana wyżej „patatajka”, słuchanie przez wychowanków interesujących rozmów, branie udziału w tych rozmowach, a przede wszystkim nieczynienie między wychowankami a pozostałymi żadnej różnicy tzw. towarzyskiej — wszystko to bardzo pociągało chłopaków i musiało niewątpliwie podnosić ich poziom. Były to w rezultacie wcale nie narzucone, lecz najzupełniej naturalne próby wydzwignięcia chłopców na poziom wyższy od tego, jaki otaczał ich w dotychczasowym środowisku. To bardzo bezpośrednio „wchodzenie” w środowisko wychowanków nie mogło nie dawać rezultatów.

Czytelnika interesuje oczywiście pytanie: a iluż to wychowanków zakładu wyszło „na ludzi”, jaki był ich procent? Nie rozporządzam żadnymi statystycznymi danymi w tej mierze. Późniejszych losów olbrzymiej liczby podopiecznych zakładu nie znam. Wskutek różnych perypetii wojennych zakład w Strudze został ostatecznie zlikwidowany. Mogę jedynie powiedzieć to, że kilku byłych wychowanków, z którymi się już po wojnie zetknąłem, „na ludzi” wyszło. Ale to nie statystyka. Nie sądzę tylko, żeby którykolwiek z nich nie zapamiętał sobie Strugi w dobrym świetle, żeby nie wspominał jej z aprobatą i z wdzięcznością. Ci, z którymi później miałem sposobność się spotkać, mówili mi to wyraźnie z niekłamana szczerością.

Nawet gdyby poprawa była udziałem stosunkowo niewielkiego odsetka, byłoby to osiągnięcie Patronatu godne co najmniej wspomnienia. Brak jakiegokolwiek wzmianki o tym w artykule wymienionym na wstępie — mającym na celu przypomnienie, jakie były osiągnięcia Patronatu — można wytłumaczyć tym, że autor tego artykułu nie natrafił na odpowiednie materiały z tak odległych czasów. Nie przesądza to jednak o tym, że materiałów takich nie ma. Pozostały one w zapisach czy w pamięci osób jeszcze żyjących, a biorących udział w życiu zakładu. Do autora omawianego artykułu można by więc skierować prośbę o przedsięwzięcie ewentualnie potrzebnych poszukiwań, co dla niego, jako długoletniego działacza Patronatu, nie będzie chyba trudne.

Uzupełnieniu powyższemu nadałem ramy nieco poszerzone. Zrobiłem to ze względu na ewentualne zainteresowanie prawników.

POLEMIKA

ALFRED KAFTAL

W SPRAWIE OPRACOWANIA A. WĄSKA PT. „CZYN CIĄGLY A PRZESTĘPSTWO CIĄGLĘ”

(uwagi polemiczne)

I. Ostatnio ukazało się pod wysoce interesującym tytułem „Czyn ciągły a przestępstwo ciągłe” opracowanie A. Wąska wypowiadającego się w sprawie szczególnie spornej tak w doktrynie jak i w orzecznictwie Sądu Najwyższego, mianowicie kon-